№ 21. Piątek, dnia 19 Lutego 1875 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE
Tygodnik

DRZEW: WARSZAWSKI.

WARSZAWA dnia 7 (19) lutego 1875 r.

„OGNISKO DOMOWE” wychodzi w każdy piątek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie k. 38.
„ „ na prowincyi i w cesarstwie: rocznie rs. 6; — kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA przy ulicy Bielańskiej Nr 8 nowy.

WYZYSKIWACZE.

(K. J.) Już to nie ma chyba pod słońcem miasta, któreby tak łatwo dało się eksploatować obcym przybyszom, jak nasza Warszawa. Jest to wadą całemu narodowi naszemu wspólną. Wrodzona sławiańska gościnność, przejawia się w ludzie otwierającym chętnie wrota każdemu obcemu. Nie od dzisiaj tak jest. Od najdawniejszych czasów znajdowali tutaj przytułek cudzoziemcy, napływający z zagranicy masami, zachęceni gościnnem przyjęciem, łatwością, z jaką dostarczano im środków do życia—a wielu z nich dochodziło do wysokich fortun, majątku i znaczenia. Niejednokrotnie piastowali ważne w kraju urzędy, rosnąc w dostatki i poważanie, a niejeden z nich osiadał tutaj stale, aklimatyzował się, zrastał z narodem i nie pomyślał nawet o powrocie do swojej dawnej ojczyzny.

Od czasów Kazimierza Wielkiego, który w epoce tak ogromnego fanatyzmu i nietolerancyi religijnej, cechującej wszystkie owoczesne rządy europejskie, pozwolił tysiącom żydów osiedlić się w kraju, nadał im pewne prawa i przywileje—do czasów Stanisława Augusta, którego dwór był przytułkiem wszelkich znakomitości i nieznakomitości cudzoziemskich—obcy doznawali u nas szczególnej sympatyi. Przypominają sobie zapewne czytelnicy z historyi, że dwory panujących były tu zawsze obsadzone licznemi przybyszami; że cały handel znajdował się w ręku cudzoziemców, mających nawet osobne prawa, któremi się rządzili; że przemysł fabryczny jaki był, to był uprawiany przez nich—że oddano im prawie wszystko prócz roli, zlewanej krawym potem chłopa, i miecza, który nie wychodził z ręki butnego szlachcica.

Wiadomo jest każdemu, ile rodzin włoskich, francuzkich, niemieckich, węgierskich, a nawet i tatarskich, osiadło na piaszczystych wybrzeżach starej Wisły, zaaklimatyzowało się tutaj, i niejako zatarło już nawet cechy swojego pochodzenia. Ileż mamy dzisiaj firm handlowych i przemysłowych, przypominających cudzoziemskie pochodzenie — ile fabryk, zakładów, warsztatów rękodzielniczych?

Nie takie to dawne dzieje, bo jeszcze w końcu zeszłego stulecia, sympatya dla obczyzny wzrosła do tego stopnia, że przejmowano się zwyczajami obcych, zarzucano swoje, mówiono, myślano nawet po obcemu. Wszystko co swojskie, uważane było za lichotę—talenta, zdolności krajowe marnowały się, bo ich nie wspomagano, nie popierano — potrzeba było koniecznie mieć firmę zagraniczną, żeby dojść do jakiego znaczenia, żeby sobie zdobyć uznanie.

Gdy w wyższych sferach, mania protegowania obczyzny weszła w modę, gdy język nawet ojczysty uległ skażeniu i zepsuciu—i niższe sfery poddawały się temu wpływowi, i lgnęły do cudzoziemszczyzny, karykaturując obce obyczaje, garnąc się do wszystkiego, co tchnęło zagranicą.

Naturalnie, podobne spaczenie nie mogło nie wywołać reakcyi. Zaczęły się odzywać głosy oponujące przeciw tym zgubnym wpływom, ludzie pióra nawoływali do poprawy, satyrycy chłostali ostremi słowy, i po długiej walce, wpływ cudzoziemszczyzny zaczął słabnąć—a reakcya zrobiła przynajmniej tyle, że wygnany z salonów język, został łaskawie przywrócony, że zaczęto interesować się tem, co swojskie — iż wreszcie uwierzono temu, że i na własnym naszym gruncie może wyrosnąć to, co sprowadzamy z za morza, lub co się samo do nas sprowadza.

Reakcya wzrastała i robiła swoje w dalszym ciągu, nie ustawała i nieustała aż do dnia dzisiejszego, a każdy, komu dziennikarstwo spółczesne nie jest obcem, widzi i dziś jeszcze wyraźny pewien ruch anti-germański, wywołujący od czasu do czasu ostre filipiki w pismach niemieckich, piorunujące na barbaryzm sławiański.

Nie idzie jednak za tem, żeby tak długo trwająca reakcya, żeby ostre głosy dziennikarstwa miały wywołać zupełny przewrot, żeby wada bezmyślnego protegowania obcych, li tylko dla tego że są obcymi, miała być w zupełności wykorzenioną—nie, ona istnieje i to na wielką skalę.

Nie mówiąc już o tem, że każdy właściciel sprowadza z zagranicy techników, nie mówiąc o tem, że obywatel ziemski na piętnastu włókach, pragnie mieć chociaż młynarza lub gorzelanego niemca—wada, o której mówimy, objawia się jeszcze zbiorowo, i o tym właśnie objawie dziś zamierzamy gawędzić.

Obcy znają tę naszą słabość — nie zrażając się więc głosami o których mówiliśmy wyżej, przyjeżdżają chętnie, aby ją korzystnie dla siebie wyzyskać.

Rogi ulic oblepiają się kolorowemi afiszami, zapowiadającemi dziwne dziwy i osobliwe osobliwości, które obcy przybysz pozwala nam łaskawie za dobre pieniądze oglądać.

Tłumy biegną korzystać z łaskawego zaproszenia gościa, i znoszą złotówki i ruble, a przekonawszy się że nie było na co patrzeć, powracają do domów piorunując na obcych wyzyskiwaczów, nazywając ich wydrwigroszami i tak dalej. A co jest najsmutniejszą, i zarazem najkomiczniejszą w tym razie stroną naszej publiczności, to to, że ci sami ludzie którzy wychodząc z budy wędrownego wyzyskiwacza, dają sobie słowo, że się nigdy nie złapią na podobną wędkę, za pojawieniem się drugiego przybysza spieszą z równym zapałem. znowuż mu płacą, i znowuż na ten sam temat piorunują i gniewają się na przybyszów.

Cyrk, panoramy, menażerye, muzea, akrobaci, magicy mają zawsze dużo powodzenia, a profesorowie czarnej magii, sztuk łamanych, tresowania psów i pcheł odjeżdżają od nas z dobrze nabitą kieszenią, błogosławiąc zapewne w duszy naiwną prostotę Warszawiaków, którzy się na lada głupstwo zwabić i wyeksplotować pozwalają.

Cofnąwszy się myślą w niedawną przeszłość naszego miasta, nie wiele zdołalibyśmy naliczyć takich chwil, w których brakowało Warszawianom podobnego rodzaju wrażeń. Nie przesadzimy twierdząc, że takie chwile należą do bardzo a bardzo nielicznych wyjątków.

Zawsze prawie gości u nas jakaś osobliwość; już to jakiś fenomenalnie wysoki lub otyły egzemplarz, wystawiający sam siebie na widok publiczny, już to jaki profesor różnych nienaukowych przedmiotów — sztukmistrz, clown, błazen lub coś podobnego.

Warszawa jest dla tych panów Kalifornią, powracają z niej oni obładowani złotem, którego nam samym brakuje.

Weźmy naprzykład czas obecny.

Mamy bardzo ciekawe muzeum pana Gassnera, mamy bardzo osobliwych spiewaków Tyrolskich—mamy wreszcie profesora psów, który utrzymuje i głosi w afiszach, że jego czworonożne elewy grają na fortepianie, i śpiewają z nut hymny narodowe i wyjątki ze znanych włoskich oper.

Wiemy dobrze, że wszystkim tym pomysłowym przedsiębiorcom, nie braknie na widzach i słuchaczach. Pan Gasner i pan profesor psi, nie namyślali się bardzo długo, lecz oznaczyli wysoką cenę wejścia, wiedząc o tem dobrze, iż to się także nie mało do powodzenia interesu przyczynia.

Lud tłumami garnie się, zwiedza, ogląda i słucha. Ale cóż zwiedza, co ogląda i czego słucha?

Oto zwiedza muzeum Gassnera, które jest niczem innem, jak tylko składem rozmaitych, bez żadnego ładu i systematu nagromadzonych rupieci — zwiedza i ogląda zbiór przedmio-

tów różnorodnych, bez żadnej myśli zebranych, gdzie obok starożytnej broni, której oryginalność jest nader podejrzana, znajdują się wypchane ptaki i figury woskowe; obok jakichś numizmatów, pozytywki grające, a obok narzędzi torturowych i przyrządów inkwizycyjnych, woskowy gabinet anatomiczny, który zwiedzającym przyniesie daleko więcej obrzydzenia, aniżeli nauki. Ten gabinet nie jest urządzony bez myśli, przedsiębierca wie bardzo dobrze, że drzwi tajemniczo zasłonięte firanką, napis głoszący, że wejście tylko dorosłym jest dozwolone, nie pozostaje bez pewnego wpływu na masy proletoryatu, a nawet i nieproletaryatu miejskiego, który sądzi, iż za ową firanką zobaczy coś niezwykłego i że się wiele nauczy i dowie.

Naturalnie niczego się nie nauczy i niczego nie dowie, bo czegóż się może dowiędzieć patrząc na woskową lalę z wyobrażeniem jakiej nienormalności fizycznej—nie słysząc przytem żadnego objaśnienia, i nie mając wyobrażenia o anatomii i naukach przyrodniczych.

Tak więc każdy przestępujący progi owego sławnego i tak bezustannie ogłaszanego muzeum, wychodząc stamtąd nie wynosi nietylko żadnej korzyści, ale nawet przyjemnego wrażenia. Traci tylko kilka godzin czasu, traci 60 kopiejek opłaconych za wejście i za kupno katalogu i żałuje w duchu, że się dał skusić afiszom i ogłoszeniom.

Patrząc znowu na owych Tyrolskich śpiewaków, który pozostawiwszy na zimowych leżach kozy i bydło, przybyli zachwycać Warszawę swym głosem wcale nieosobliwym, i nieestetycznemi tańcami, pomimowoli przychodzi na myśl, dla czego jaki Bartek lub Wojtek z Czerniakowa zamiast męczyć się cepem, nie zbierze sobie kompanii i nie pojedzie do Wiednia lub Berlina, w tym samym celu w jakim Bartek Tyrolski nawiedza Warszawę. Przecież i nasz wieśniak ma swój kostyum, swoje śpiewy i tańce, a przecież nie włóczy się po świecie i niepokazuje jako osobliwość, bo wie, iż nigdzie nie znalazłby powodzenia, i wie, że tak kostyum, jako też śpiew i taniec nie jest taką osobliwością, iżby ją aż za pieniądze pokazywać potrzeba.

A cóż jest owa psia opera, owe wyjątki z muzyki włoskiej, grane i śpiewane przez czworonożnych artystów? Oto poprostu, pies mając przed sobą nuty, wyje i szczeka jak mu się podoba. Ludzie idą oglądać tę osobliwość, i płacą za to czterdzieści kopiejek, żeby widzieć psa wyjącego przed nutami. Czyż u nas już zabrakło psów, czy nie wyją w podwórzach po całych nocach bez nut—że nieraz człowiek dałby kilka kopiejek za to, żeby przestały, i nie przeszkadzały spać. Dlaczegóż więc taka masa ludzi śpieszy oglądać i podziwiać podobne głupstwa, dlaczego traci pieniądze i zapycha niemi kieszeń wyzyskiwacza. Oto dlatego, żeśmy się przyzwyczaili podziwiać wszystko co obce, że zawsze sympatycznie przyjmowaliśmy cudzoziemców, i że wszystko co tylko pochodzi z zagranicy ma dla nas pewien urok i powab.

Ciekawem bardzo mogłoby być dokładne obliczenie ile Warszawa wydaje rocznie na opłacenie tego rodzaju przedsiębiorców. Bez kwestyi że jeżeli nie setki, to z pewnością dziesiątki tysięcy rubli. I cóż ma z tego za korzyść, lub jeżeli już nie korzyść, to jaką chociażby przyjemność? Bezwarunkowo żadnej, każdy wychodzący z budy wędrownego kuglarza, żałuje że tam wszedł i żałuje tych pieniędzy, ksóre stracił, co wszakże bynajmniej nie przeszkadza mu udać się do nowego przybysza i znowuż złożyć mu dobrowolny podatek.

I czyż wobec istnienia takiej wady dziwić się należy śmiałości tych panów, którzy nam tutaj zwożą na pokaz rozmaite głupstwa, na któreby gdzie indziej spojrzeć nie chciano.

Bolesna to rzecz wspomnieć, że u nas artysta potrzebujący kształcenia, a nie mający środków potemu, marnuje częstokroć swój talent, ponieważ społeczeństwo nie przyjdzie mu z pomocą. Zrzec się musi świetnych marzeń i nadziei, stłumić w piersiach iskrę bożego daru, bo ziomkowie nie podadzą mu dłoni przychylnej, nie poratują i nie wesprą młodych jego kroków. Ale to samo społeczeństwo ci sami ziomkowie zbogacą chętnie pana Gassnera, zapłacą dobrze śpiewakom Tyrolskim naładują pieniędzmi kieszenie profesora psów. Kiedyż przyjdzie nareszcie koniec takiemu położeniu rzeczy, kiedyż otrząśniemy się z tej powolności, z jaką karmimy całe zastępy pasożytów. Karmimy ich, chociaż gniewamy się i oburzamy na wyzyskiwanie naszych kieszeni. Ale cóż tu pomoże gniew, co pomoże oburzanie się, jeśli słów naszych nie poprzemy czynem. Wtenczas dopiero, kiedy ci panowie przekonają się, że warszawska publiczność nie jest po dawnemu łatwą do eksploatacyi, kiedy jeden i drugi zobaczy pustki w swej kasie—wtenczas przestaną nam zwozić psy wyjące, pchły tresowane i tym podobne osobliwości. To będzie na nich najlepszy sposób.

Niech nas nikt nie posądza ze występujemy przeciwko tym panom, z tej jedynie zasady, że są za granicami naszego kraju urodzili. Broń Boże, jak bowiem bezwzględne uwielbianie wszystkiego co obce, jest nonsensem i brzydką wadą, tak też i bezwarunkowe potępianie cudzoziemców dlatego tylko, że są cudzoziemcami, nie może mieć żadnej logicznej podstawy.

My występujemy tylko przeciwko *ludziom*, którzy wyłudzają od łatwowiernych, a raczej od ciekawych pieniądze, a w zamian pokazują im głupstwa, nie przynoszące ani przyjemności, ani korzyści. My chcemy potępić tych wstrętnych wyzyskiwaczy, którzy pod rozmaitemi postaciami przybywają do nas tak często i raczą gościć tak długo. Chcemy zwrócić uwagę naszej publiczności na to, iż wszyscy ci panowie są pasożytami, próżniakami, ludźmi uganiającymi się za zyskiem łatwym a obfitym.

Że we własnym naszym interesie, nie powinniśmy ich protegować, lecz przeciwnie, że obowiązkiem naszym jest ignorować tych panów, dać im do zrozumienia, że nie jesteśmy dziećmi, które się bawią tresowanym pieskiem lub podobnemi głupstwami.

Bo czyż nie lepiej za te pieniądze pójść do teatru, czy na koncert, czy na odczyt czy wreszcie kupić sobie za nie książkę, z którą przyjemnie i pożytecznie można czas przepędzić, aniżeli iść oglądać to, bez widzenia czego łatwo obejść się można. W ostatnim razie stokroć lepiej zrobimy oddawszy te pieniądze na cel dobroczynny, to nam przyniesie tę moralną pociechę, żeśmy otarli łzy niedoli, osłodzili komuś godzinę ciężkiej i przykrej nędzy.

Gdy przekonanie o którem mówimy, myśl, którą staraliśmy się rozwinąć, wejdzie do serca naszej publiczności, wtenczas korzyść stąd będzie podwójna. Z jednej bowiem strony, tym sposobem oszczędzimy niepotrzebny wydatek i będziemy mogli ten grosz na co pożyteczniejszego obrócić; z drugiej zaś, nie dając zarobku psim profesorom i tym podobnym przedsiebiorcom, zwrócimy ich na właściwszą drogę, mianowicie na drogę pracy w fabryce lub warsztacie, która tyle człowieka podnosi i uszlachetnia, ile go dotychczasowy ich przemysł poniża.

Haliczanin-Ziewonia.

Z KSIĘGI WSPOMNIEŃ

K. Wład. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg—patrz Nr. 20).

Osiedliny we Lwowie.—August Bielowski: jego przekład poematu „*Wyprawa Igora na Połowców.*"—Józef Borkowski.—Wspomnienia.—Grecya i Borkowskiego

U OGNISKA.

(S). Szanowni czytelnicy! Macie przed sobą felieton amatora. Nie jestem literatem ani broń Boże felietonistą; coś mnie skusiło wziąć pióro do ręki i szczęścia dziennikarskiego spróbować, redakcya zgodziła się na to łaskawie, przypuszczając, że w nowym pracowniku nowe znajdą się siły, gdy na felietonistów, z małemi wyjątkami straszna teraz posucha, i ot, jak powiedziałem, probuję szczęścia. Ale najprzód przedstawia mi się wielka wątpliwość, czy ja jestem literatem, czy ja nie jestem literatem? bo oto w Encyklopedyi wydanej nakładem i staraniem całej inteligencyi „Przeglądu Tygodniowego" vel p. Adama Wiślickiego *znanego zaszczytnie i ogólnie szanowanego literata i redaktora*, znajduje się następujące określenie:

> Literat (łac.), posiadający wykształcenie naukowe, mianowicie uniwersyteckie, autor, mianowicie autor z powołania.

Otóż stopień uniwersytecki ja mam i czuję w sobie powołanie, ale czy mnie encyklopedya i uczeni redaktorzy (zawsze p. Adam Wiślicki) w błąd nie wprowadzają. Boć przecie pan Adam Wiślicki jest literat! (ktoby śmiał przeczyć!), a przecież p. Adam Wiślicki uniwersytetu nie kończył i dzieła nie napisał, jest tylko autorem „Przeglądu". Czyżby „Przegląd" był dziełem literackiem, wytworzonem z powołania, a stąd i na tej zasadzie pan Wiślicki jako autor „Przeglądu", dzieła wydanego z powołania, był literatem?!! Zagadka! Tajemnica! Ciemność! A możebym doszedł czegoś sposobem porównawczym... Sprobójmy. O ile pamiętam, w trzeciej klasie gimnazyum uczono mnie, że w takim razie należy użyć proporcyi... O proporcyach można coś znaleść w arytmetyce... Brawo! Poszukajmy u p. Wiślickiego, co to jest arytmetyka... Pierwsza litera alfabetu... łatwo znaleźć. Zresztą czego u pana Wiślickiego nie można znaleźć... Mam, arytmetyka:

> „Arytmetyka (grec.). nauka o liczbach, część matematyki, która się zajmuje stałemi czyli dyskretnémi wielkościami".

Ratujcie, ludzie nauki, specyaliści... co to jest wielkość dyskretna? czy pan Wiślicki jest wielkością dyskretną? czy niedyskretną i co ja mam zrobić, żebym mógł zostać taką wielkością, jak pan Wiślicki... bo że pan Wiślicki jest wielkością, to niezawodnie! tylko czego?!

Ale skończmy już z „Przeglądem" i z panem Wiślickim.

Czytelnicy, z tych kilku słów, przytoczonych umyślnie, łatwo sobie mój cel wytłómaczą. Zadaniem mojem było powiedzieć łatwowiernym: strzeżcie się sideł na prenumeratorów... strzeżcie się Panteonu, bo się dacie znów złapać jak na Bibliotekę 50-tomową lub Encyklopedyą.

Przechodząc teraz na szersze pole, zaznaczyć muszę w ogóle ton nadzwyczaj ostry i nieprzyzwoity, jakiego i poważniejsze organa prasy między sobą w polemice używają.—Szczególniej objawia się ten przykry symptomat w polemikach „Wieku" z „Gazetą Warszawską" i „Gazety Polskiej" z obydwiema poprzedniemi. Jestto niemiłe i niesmaczne. Rozumiemy, że z takim organem jak „Przegląd Tygodniowy" nikt nie polemizuje i że większa

hymny, wiersz jego do bogdanki serca. — Rękopis „*Wojny Chocimskiej.*“—Ziewonia.—Prace literackie.—Album na korzyść pogorzelców.—Leszek Borkowski, poemat jego „*Orły z Herburtów.*“

IV.

Niewiedziałem jak długo będę zamieszkiwał we Lwowie, pomimo to, trzeba było pomyśleć o pomieszkaniu taniem, gdyż pobyt w hotelu wiele kosztował. Trafił się właśnie lokal taki w domu pani *Nahlik* przy ulicy *Strzeleckiej*. Dziwna to była budowla, od *plantów* mieszkanie moje stanowiło dół, ale od miasta, pierwsze piętro, gdyż poniżej zielenił się ogródek. Mieszkanie całe składało się z trzech pokoi i kuchni—z tych jeden odnająłem Józefowi Dzierzkowskiemu, który obiecał pracować na literackiem polu.

I zaczęliśmy tu znowu małe miejskie gospodarstwo. Wkrótce zapoznali się ze mną *August Bielowski, Józef i Leszek dwaj bracia Borkowscy* i *Lucyan Siemieński*. Pierwsi trzej już znani byli z *Haliczanina*, ostatni jeszcze nic niedrukował, lubo znano go z niepospolitego talentu. Kończył on właśnie mistrzowski swój przekład z czeskiego *Rękopisu królodworskiego*, który mu następnie dał tak wielki rozgłos, a Bielowski miał wykończone tłómaczenie poematu: „*Wyprawa Igora na Połowców.*“

Za pierwszem spojrzeniem przypadł mi do serca Bielowski. Wysoki, szczupły, twarzy pociągłej, dziobaty, miał w swem obliczu szczególny wyraz sympatyczny, który przyciągał; poważny, powolny, rzadko kiedy się uśmiechał, ale gdy go co rozweseliło, śmiał się jak to mówią od serca. Liczył wówczas rok trzydziesty trzeci. Zaprosił mnie do siebie; mieszkał na poddaszu, i tam w rękopiśie odczytał mi swój przekład. Mamże wyznać, że zapalony wielbiciel pieśni i podań ludowych, gorący zwolennik tego rodzaju zabytków, z zachwyceniem słuchałem tego tłómaczenia, tak cudnym językiem oddanego. Po kilkakroć musiał mi odczytywać niektóre ustępy.

Mój zapał, ucieszył wielce zacnego Augusta który w kółku młodych literatów, używał niemało wziętości zacnością i prawością charakteru jak i swoją powagą. Obraz pobojowiska w tym poemacie, i żale Jarosławnej tak wymownie a poetycznie oddane, wryły się w pamięć moję głęboko.

Po dwa, trzy razy na tydzień, szczególnie gdy brat mej żony Dominik Magnuszewski *z pokucia* przyjechał i bawił u nas, zgromadzała się cała ta drużyna przyjacielska.

Z dwóch pokoi, pierwszy wchodowy, który stanowił naszę salę i pokój jadalny, będąc obszerny, służył na miejsce zebrania. Zwykle obaj Borkowscy razem przychodzili. *Józef*, którego zwaliśmy *Grekiem* dla jego biegłości w językach: greckiem i mołdawskim, zwykle zasiadał na jednej kanapce. Chociaż liczył dopiero rok dwudziesty czwarty życia, był poważniejszy nad wiek, w ruchach powolny. Oblicze jego, wyrazistemi odznaczało się rysami. Twarz więcej podłużna, oczy duże, wydatne, czarne, wąs bujny, piękna czarna broda, równie jak włosy z wyniosłego czoła w gęstych splotach spadające na ramiona.

Ta jego powaga w tak młodych latach, wynikła zapewne z surowych studyów naukowych jakim się poświęcił; właśnie wtedy rozpoczynał mozolną pracę, bo porównania języka starogreckiego z nowogreckim; nieruchawość, znamionowała początki już nieuleczonej choroby, która go po długich cierpieniach zabiła. Umarł dnia 18 czerwca 1843 r.

O Warszawie przechowywał zawsze wdzięczne wspomnienie, w dziewiątym bowiem roku życia przywieziony do tego miasta, w konwikcie księży Pijarów rok jeden pozostawał, a następnie do Liceum warszawskiego uczęszczał. Linde, rektor tego liceum, dobry znawca młodzieży, rokował wielkie nadzieje w przyszłości z Józefa. Nie mógł skończyć szkół w Warszawie jak pragnął, bo rząd austryacki wydawszy przepis zabraniający wychowywania dzieci zagranicą, zmusił go do powrotu do Galicyi. Dalsze przeto wykształcenie naukowe pobierał w gimnazyum lwowskiem, a następnie z bratem młodszym udał się na Bukowinę do *Czerniowiec* 1827 roku, gdzie słuchał filozofii przez lat parę.

Wypadki w Grecyi, walka o wybicie się z pod jarzma tureckiego, wzruszyły wówczas całą Europę, a Czerniowce były przytułkiem wielu rodzin greckich, które tu spokojnie przesiadywały. Tam poznał się Józef Borkowski z wielu światłymi Grekami i przejąwszy się ich sprawą, opiewał ją z zapałem Byrona w hymnach. Pozostawił kilkanaście ich w rękopisie, które są dziwnej piękności. Młódź grecka, którą Józef do doskonalenia się w języku ojczystym i do oddawania się piśmiennictwu zapalał, i która dla niego pieśni ludu zbierała po różnych stronach Grecyi przysłuchiwała się z rozkoszą tym jego hymnom i rozwoziła je z sobą po różnych okolicach. Do nich to stosuje się następna strofka w jednej z jego pieśni.

Poezye moje, jak ptaki, jak strzały
Puściłem w okrąg po świecie;
Były w *Atenach*, w *Koryncie* zabrzmiały
I na *Pindu* białym grzbiecie;
Zwiedziły *Hydry* bohaterskie skały,
Epir jak wielbłąd z garbami,
I miasto złote, jak blaski południa,
Z tysiącznemi meczetami.
I wszędzie dla nich i stoły i studnie
I kwiat i owoc i oczu wzrok błogi,
Otwarte serca i gościnne progi.

(*D. c. n.*)

Z NAUK PRZYRODZONYCH.

Zarys rozwoju pojęć naukowych.

Antropomorfizm.—Zasady Demokryta.—Filozofja atomowa.—Epikur.—Lukrecyusz.—Myśliciele greccy. — Zastój.—Mistycyzm średniowieczny i szkoła scholastyczna. — Błędy nauki Arystotelesa. — Alhazen. — Kopernik. — Giordano Bruno. — Galileusz i Kepler. — Newton i Gassendi. — Butler. — Darwin. — Teorya jedności sił fizycznych. — Źródło twórczości naszej myśli. — Hyżość czynników nerwowych. — Herbert Spencer.—Wundt.—Haeckel.—Pogląd Tyndalla.—Nowe drogi otwarte dla wiedzy.

Od najdawniejszych czasów umysł ludzki śledził zjawiska przyrody, usiłował zbadać ich przyczynę i wpływy, wyjaśnić tajemnice życia. Studya naukowe poczęły się od antropomorfizmu—człowiek wytworzył sobie świat nadprzyrodzony, zapełnił go istotami, którym przypisywał ludzkie kształty i namiętności. Z rozwojem pojęć przejawiła się potrzeba bliższego zapoznania się z naturą i z jej składnikami, które Lukrecyusz nazywa *pierwszemi elementami*. Pomijając całkiem metodę doświadczalną, metafizycy owocześni przyjęli hypotezę atomów i molekułów, rozwiniętą następnie przez Demokryta, żyjącego na 400 lat przed Chrystusem. Niestety—doszły nas zaledwie ułamkowe wiadomości o jego systemie naukowym. Genzeryk, Attyla i barbarzyńcy zniszczyli filozofję atomową. Zasady wygłaszane przez Demokryta, dziś jeszcze godne są uwagi myśliciela, a wiele z nich pomimo upływu dwudziestu dwóch wieków, nie odbiega od podstaw wiedzy tegoczesnej. Oto główne zasady nauki Demokryta:

„Z nicości nic się nie rodzi.

Nic z tego co istnieje, nie może być zniszczonem.

Wszelkie zmiany materyi, powstają z łączenia się i z rozdzielania molekułów.

Nic nie pochodzi z przypadku — każde zjawisko ma przyczynę której jest koniecznym skutkiem.

Istnieją tylko atomy i próżnia.

---

część pism traktuje go per non sunt, boć rzeczywiście jest to coś, o czem pisać poważnie nie można, a może i najlepiej nie tykać, ale poważne organa prasy między sobą szanować się powinny. I owszem, polemizujcie panowie, ale polemizujcie bez grubych wyrażeń, i tak, aby kwestya wyszła jasno dla publiczności, a nie wasze prywatne niechęci.

A teraz dosyć już dziennikarstwa, i tak zrobiłem już zbytek na korzyść pana Wiślickiego, a tu właśnie w niedzielę p. Aleksander Kraushar, tak wymownie smutne następstwa zbytku dla społeczeństwa przedstawiał. A miał p. Kraushar tem większą zasługę, że poruszył przedmiot na czasie, gdyż życie nad stan wszędzie i ciągle się u nas objawia. Odczyt szanownego prelegenta sprowadził około 600 osób do sali ratusza i przysporzył funduszu na osady rolne tak u nas pożądane. Odczytów takich będzie serya cała, a udział w nich przyjmą nawet dwie znane z zasług literatki i powieściopisarki, panie: Eliza Orzeszkowa i Walerya Marrené (Morzkowska). Szczęść Boże zacnej pracy.

W teatrze, w chwili, kiedy ten numer Ogniska ujrzy światło dzienne, będzie już po przedstawieniu pierwszem „Krytyków“ J. Chęcińskiego, na benefis pozostałych po nim sierot. Jak smutno pomyśleć, że poeta nie mógł już zobaczyć dzieła, które tak wypieścił. Nie jest rzeczą felietonisty, dawać oceny teatralne, więc o przedstawieniu Krytyków i ocenę ich spotkają czytelnicy pod właściwą rubryką. Felietoniście tylko zaznaczyć wypada sympatyą, z jaką publiczność przyjęła to przedstawienie, upatrując w tem nowy dowód uznania dla zasług ś. p. Chęcińskiego.

Przygotowuje się tam również na benefis p. Modrzejowskiej „Intryga i Miłość“ Szyllera, wreszcie „Wit Stwosz“ pana Rapackiego. Zapowiadają również masę wznowień i nowości, będzie się czem zająć na post, tem więcej, że i koncertów gotuje się sporo. Ba! i pan Salamoński ma zjechać z końmi dla większej uciechy warszawskiego sportu i naszych fashionablów. Tylko nie wiem czy się tym razem nie przerachuje zagraniczna spekulacya na naszych kieszeniach. Bo to jakoś post zawcześnie wypadł w tym roku, podobno od Ś-go Jana, to jest od czasu jak zbytu na zbo-że nie ma, a na utrzymanie domu w mieście czy na wsi jednakowo wydawać potrzeba. Jak wiadomo wam czytelnicy, według Buckla... liczba małżeństw w Anglii jest w stosunku odwrotnym do ceny zboża, im zboże tańsze, tem małżeństw więcej i na odwrót. Gdyby też kto chciał u nas zająć się zebraniem takich danych statystycznych, rzeczby była arcyciekawa... Choć czasem niedogodna! Bo to przypuśćmy, że ktoś jest starym kawalerem (nie chwaląc się, jak naprzykład piszący ten felieton) i zna dużo panien na wydaniu a mało epuzerów. W tem ceny zboża spadają i spadają coraz bardziej..., do licha, fatalny interes!.. Człowiek czuje, że konieczność, fatalizm statystyczny wymaga większej liczby małżeństw, a tu nie żenią się w koło niego... I myśli sobie... a może statystyka wymaga... abym ja się ożenił, może ja mam stać się ofiarą fatalizmu statystycznego. I ot ma człowiek zatrute życie (bo i któż może spać spokojnie pod grozą ożenku, gdy już jest po czterdziestce), noce niespokojne i ciągły strach nad głową. Jestem przekonany, że po podaniu do wiadomości publicznej rezultatów takich badań,

Ilość atomów jest nieskończoną, a postać ich przedstawia nieskończoną rozmaitość.

Z uderzania o siebie atomów powstają wiry będące zawiązkami światów.

Rozmaitość wszech rzeczy zależy od rozmaitości ich atomów, od ich liczby, wymiarów i skupienia.

Dusza składa się z atomów wolnych, gładkich, okrągłych, jak atomy ognia.

Atomy ognia są najruchliwsze ze wszystkich, przenikają we wszelkie ciała, a z ruchów ich wytwarzają się zjawiska życia".

Atomy Demokryta z osobna brane, pozbawione są wszelkiej wrażliwości, łącząc się jednak z sobą, według praw mechanicznych, wytwarzają nietylko kształty organiczne, ale nadto wrażenia i myśli.

Demokryt wszakże nie usiłuje bynajmniej rozwiązywać zagadnień, dotyczących ustroju ciała ludzkiego—natomiast Empedokles, mąż umysłu nierównie żywszego i poetyczniejszego, wprowadza w grę atomów miłość i nienawiść, dla wyjaśnienia ich związków i rozdziałów. Obdarzony niezwykłą przenikliwością, wygłasza on, że byt związków zależy od ich natury wewnętrznej, stosującej się do ośrodka w jakim pozostają—że związki niestosujące się do tegoż ośrodka, muszą znikać. Przed dwoma tysiącami lat, przedstawioną była zatem zasada zależności bytu od ośrodka, mająca dziś w nauce tak wielkie znaczenie.

W historyi filozofii atomowej, bezpośrednio po Demokrycie, zajmuje miejsce Epikur (urod. 342 r. przed Chryst.) syn ubogiego bakałarza z wyspy Samos. Roztrząsał on pilnie pisma tego filozofa—po ukończeniu nauk w Atenach, wrócił się do Samos, a następnie odbył wiele podróży do rozmaitych krajów.

Epikur ostatecznie osiadł w Atenach, gdzie otoczony uczniami, uprawiając swój ogród wiódł życie czyste i spokojne. Jednym z główniejszych celów jego filozofii, opierającej się przeważnie na naukach Demokryta, było wyzwolenie pojęć z jarzma przesądów i obawy śmierci. Według niego śmierć jest dla nas rzeczą obojętną, pozbawia nas bowiem jedynie wrażliwości. Dopóki żyjemy, nie znamy śmierci—umierając już nie istniejemy. Życie nie może unieszczęśliwiać tego, który jest przekonanym że znicestwienie nie stanowi jeszcze nieszczęścia.

Epikur czcił bogów, lecz miał o nich pojęcia czystsze. „Nie jest bezbożnym ten, mawiał on, kto odrzuca tłumy bogów, lecz raczej ten jest ateuszem, który ich wielość przyjmuje." Według Epikura, bogowie byli istotami wieczystemi i nieśmiertelnemi, żyjącemi bez zajęcia i troski. Przyrodą, powiada on, rządzą prawa niewzruszone, do których wcale nie mieszają się bogowie. Pomieszkaniem ich są przestwory oddzielające od siebie światy, gdzie nigdy nie przesuwa się chmurka,—gdzie nie powiewa najlżejszy wietrzyk—gdzie nie spada najdrobniejszy płatek śniegu—gdzie nigdy nie daje się słyszeć grom piorunowy — gdzie wreszcie, nigdy nie dochodzi jęk ludzki, mogący zamącić wieczysty i święty spokój".

W półtora wieku po śmierci Epikura, Lukrecyusz (ur. w 99 r. przed Chryst.) w poemacie o *Naturze rzeczy*, rozwinął filozofię swego greckiego poprzednika. Odrzuca on to pojęcie, aby jakakolwiek rzecz mogła powstać z niczego, lub być obróconą w nicość. Atomy według niego są składnikami ciał, i nie ulegają zniszczeniu. Ze związku atomów powstające ciała, mają siłę zdolną stawiać opór. Lukrecyusz zaprzecza aby materya mogła być podzielną do nieskończoności — atomy jego odgrywają rolę substratum wieczystego, bez którego nie mogłyby one ani istnieć, ani wytwarzać połączeń.

W upływie czasu ubiegającego między pierwszym, a ostatnim z tych trzech myślicieli, występują sofiści.

Ateny szczycą się trzema filozofami: Arystotelesem, Sokratesem i Platonem. W tymże czasie założoną zostaje szkoła Aleksandryjska.—Euklides pisze swe *Elementy*, Archimedes podaje teoryę drąga i zasady hydrostatyki, Pytagores odbywa doświadczenia dotyczące przerw harmonijnych. Astronomia zbogaca się odkryciami Hipparcha, po którym występuje Ptolomeusz jeszcze słynniejszy. Anatomia zaczyna stanowić podstawę medycyny teoretycznej. Grecya zajmuje się badaniem zjawisk przyrody, porzucając świat rojeń wyobraźni.

Jakaż zawada powstrzymuje zwycięzki pochód wiedzy? Bakon przypisuje bezpłodność myśli przejawiającą się w ciągu tylu następnych wieków, wyczerpaniu się twórczej inteligencyi ludzkiej. Whewel upatruje tę zawadę w braku światła, w nietolerancyi i niewolniczości krępującej swobodę myśli, i wyprowadza ten zastój ze stanu społeczeństw owoczesnych. Rzym przedstawia moralną zgniliznę, chrystyanizm ofiaruje Ewangelię ubogim, i zachęca do życia ascetycznego. Cierpienia pierwszych chrześcian, nadzwyczajna siła ich ducha pokonywająca szatańskie tortury ciała, pozostawiają ślady niezatarte.

Chrześcianie z okiem wlepionem w niebo, pogardzają ziemią. Biblia uważaną jest w owym czasie za wyrocznię we wszelkich kwestyach naukowych. Święty Augustyn (400 lat po Chryst.) nie zaprzecza wprawdzie okrągłości ziemi, lecz nie przypuszcza, aby ludzie mogli żyć w Antypodach—a to ze względu, że Pismo Święte nie wymienia tej rasy w pośród tych które wyprowadza z Adama. Wobec takich pojęć za zasadnicze poczytywanych, postęp musiał zostać powstrzymanym. Zjawiska przyrody zamiast być odnoszone do przyczyn fizycznych, przypisywane były przyczynom moralnym — miejsce doświadczeń naukowych zajęła wyobraźnia.

W średnich wiekach przychodzi mistycyzm z filozofyą magiczną, hermesową, neoplatoniczną, z abstrakcyami i wizyami. Ludzie uważają swe ciało za więzy, przeszkadzające łączyć się ich duszy z najwyższem istnieniem. Po tym chaosie pojęć, gmatwaninie przekonań, następuje filozofia sholastyczna, będąca według Lange'go, połączeniem pojęć Arystotelesowych z wierzeniami chrystyanizmu zachodniego. Inteligencya pozostaje unieruchomioną — scholastycy krążą w kole zacieśnionem pojęć; zdaje się im że postępują, a w rzeczywistości przychodzą do punktu z którego wyszli. Arystotelesowi przyznać musi wiedza zasługi niezaprzeczone jako myślicielowi, a nawet jako przyrodnikowi—chociaż popełnia on wiele błędów. Według niego, jeden tylko człowiek posiada serce pulsujące, strona lewa ciała ludzkiego jest zimniejszą od prawej, mężczyźni mają więcej zębów od kobiet—wreszcie Arystoteles przyjmuje, że w części tylnej głowy u każdej istoty ludzkiej, istnieje przestrzeń próżna.

Natomiast, w wiekach średnich rozwój inteligencyi Arabów jest niepospolity. Maurowie po zajęciu w posiadanie Hiszpanii, uprawiają nauki i sztuki. Wrazie choroby, wieśniak chrześcijański udaje się do kościoła.—Maurytanin szuka pomocy lekarza. Alhazen wykrywa załamliwość światła, wygłasza, że po zachodzie słońca lub księżyca, niebieskie te ciała są widzialne. Uczony ten dowodzi, że atmosfera rozrzedza się w miarę jak posuwać się będziemy w wyższe jej warstwy—że ciało zmienia wagę odpowiednio do tego, jak jest ważonem w powietrzu, rozrzedzonem lub zgęszczonem. Alhazen przyjmuje środek ciężkości ciał i siłę ciążenia, jakkolwiek błądzi odnosząc ją jedynie do ziemi—zna on wreszcie stosunki zachodzące między szybkością, przestrzenią i czasem jakiego potrzebują ciała w spadku. Jemu zawdzięczamy w końcu udoskonalenie hygrometru.

W 1543 roku występuje słynne dzieło polskiego astronoma Kopernika, *o obrotach ciał niebieskich*. Ziemia z swych posad wzruszoną zo-

---

giełda produktów byłaby u nas w oblężeniu przez płeć piękną czy brzydką, tego nie wiem... a raczej nie śmiem powiedzieć, z obawy narażenia się pięknym czytelniczkom lub przyjemnym czytelnikom... ale żebyśmy śledzili giełdowe kurscetle to na pewno.

Co jest jednak faktem, to, że karnawał strasznie nie dopisał, ale sromotnie, szczególniej znaczniejszym handlom mód i win, no i... (powiedziawszy pod sekretem) pannom na wydaniu. Nie stroją się już tak panie, bo nie ma za co... nie piją tak wiele, bo także nie ma za co... a głównie nie żenią się... bo żenić się najbardziej nie ma za co. I proszę was czytelnicy jak się tu żenić. Weźcie mnie naprzykład. Skończyłem uniwersytet kilkanaście lat temu. Dobiłem się do jakiegoś tam urzędu bardzo niedawno... Mam dziś 6,000 złp. pensyi, no, i jak się tu żenić. Choćbym miał wymagania najskromniejsze, gdzież znajdę pannę z jakiem takiem wychowaniem, coby pójść za mnie chciała i umiała utrzymać dom za moję pensyą. A iluż to ludzi jest w mojem położeniu. Nie bronię już mojej sprawy bom za stary... ale są młodsi odemnie, w tych samych warunkach. A tu coraz trudniej dobić się chleba, a życie coraz droższe, a wymagania zbytku coraz w górę idą. Trzebaby przecie coś wymyśleć na to. Piękne czytelniczki „Ogniska", czybyście nie podały jakiego sposobu?

Ponieważ już jestem na torze utrapień, pozwólcie, że się z wami czytelnicy jeszcze jednem podzielę. Oto przypuśćcie na chwilę, że młody człowiek przy pomocy własnej pracy, uwolnień od wpisu, stypendyów i tym podobnych zapomóg, skończy uniwersytet, czyli uwieńczy dzieło... spójrzcie proszę na dalszy rozwój tego wieńca. Dajmy na to, że to jest lekarz (biorę fach będący w najkorzystniejszych warunkach). Po skończeniu uniwersytetu, lekarz potrzebuje urządzić sobie mieszkanie, to znaczy wynająć je, umeblować, oporządzić się przyzwoicie, boć w uniwersytecie mundur był całem ubraniem. Ile myślicie czytelnicy że na to potrzeba i skąd pieniądzy ów młody człowiek weźmie? Oto znajdują się i u nas lichwiarze, istni plantatorowie, którzy kupują za parę tysięcy, pracę całego życia białego niewolnika. Za parę tysięcy, przypuśćmy za dwa, wystawia się weksel na pięć z procentem po 5% lub 6%. Naturalnie po roku nie ma czem oddać. Dopisuje się procent i kapitał; a w kilka lat, przy znacznych nawet dochodach, przy najlepszem powodzeniu, cały zarobek nie wystarcza na zapłacenie procentu.

Jeżeli myślicie czytelnicy że to nie jest kwestya paląca, to się mylicie. Sam znam setki moich kolegów w podobnem położeniu. Czyż wobec tego nie powinnaby i u nas znaleźć się jakaś kasa pożyczkowa dla młodych ludzi kończących uniwersytet. Czyż społeczeństwo nasze nie powinnoby o tem pomyśleć, aby ocalić tylu ludzi od jarzma lichwiarzy i uchronić się od następstw takich, do jakich doprowadziły długi lichwiarskie doktora praw Wyrobka w Krakowie?

Czy nie byłaby to instytucya dla kraju dobroczynna?

Zdaje mi się, że to rzecz warta dyskusyi.

staje—odbywa ruchy wykryte przez tego uczonego. Trzydzieści trzy lat pracował Kopernik nad swą teoryą układu słonecznego. Giordano-Bruno, filozof włoski był jednym z pierwszych uczonych, którzy przyjęli to znakomite odkrycie. Bruno, wychodząc z zasady Kopernika, poczytuje gwiazdy stałe za słońca rozproszone w przestrzeni w nieskończonej liczbie, w towarzystwie satelitów, które według niego są tem samem, czem nasza ziemia względem słońca, lub księżyc odnośnie do kuli ziemskiej. Co więcej, Bruno uważa materyą za twórczynię wszech rzeczy, za matkę rodzącą cielkę wszystkiego co nam podpada pod zmysły.

Bruno mnich dominikański, oskarżonym został o herezyą, i zmuszonym był szukać schronienia w Genewie, Paryżu, w Anglii i w Niemczech. W 1592 roku wpadł on w ręce Inkwizycyi Weneckiej. Po długiem więzieniu myśliciel ten został spalonym na stosie 16 Lutego 1600 roku. W trzydzieści trzy lat po nim, Galileusz zmuszonym był na klęczkach wyrzec się swych tak zwanych błędów, przed groźnem zgromadzeniem inkwizytorów. Po nim Kepler kreśli prawa ruchów planetarnych, wreszcie spotykamy się z Newtonem i jego prawem ciążenia powszechnego.

(D. n.)

KOŃ—POETA.

(BAJKA Z TROCHĄ PRAWDY).

Jak to często się zdarza,—
U żyda, u pachciarza,
Pośród pracy mozolnej, a przy nędznym [żłobie,
Pewien koń na powszedni chleb zarabiał [sobie.

* * *

Biedneż było to zwierzę—biedne!... Litość [brała
Patrzeć, jako mu pachciarz, szelma Juda-[szowa,
Za trud krwawy dobrego nigdy nie dał [słowa
I bił jeszcze po kościach, co sterczały [z ciała.

* * *

To też nie dziw — koń myśląc w niewinno-[ści swojej,
Że świat cały podobny do żyda-pachcia-[rza,
Złorzeczył (jak to często biedakom się zda-[rza),
Wszystkim ludziom, i wszystkich klął na [czem świat stoi.

* * *

Aż zechciała fortuna, że pewnego rana,
Kupiwszy go chłop jakiś za szeląg u żyda
I widząc, że się jeszcze do roboty przyda,
Wprzągł do wozu ze stogiem przemokłe-[go siana.

* * *

Trudno było wóz toczyć! — lecz,—z myślą [różaną,
Że przecie śmierć go może z tych mąk wy-[rwie skora,
Ciągnął koń..... Aż nareszcie, już koło wie-[czora,
Wjechał w miasto, gdzie targ się odbywał [na siano.

* * *

Nagle widzi—o dziwo! o zachwycie błogi!—
Zaledwie na bruk wstąpił, miastowi ludzi-[ska
Na prześcigi do wozu podbiegając zbliska,
Cap! każdy siana w jednę, w drugą garść, [i—w nogi!

* * *

Więc myśli: „O poczciwcy!... otóż co to [znaczy
„Końska złość!—jak to nigdy gniewać się [nie trzeba!—
„Jam ich klął, a tymczasem.... to anioły [z nieba,
„To—to bogi! boć możnaż nazwać ich ina-[czej?

* * *

„Oto widząc, jak biedne szkapsko z sił [opada,
„I pragnąc mu ciężaru ulżyć ile można,
„Mimo że im wygraża chłopska pięść bez-[bożna,
„Skubią stóg—i dłoń każda pomódzby mi [rada"!

Tak myśląc, rozpłakało się biedne konisko
Rzewnym płaczem, aż ciepłe łzy na bruk [pociekły,
I... ażeby poemat nie był za rozwlekły,
Kończę, podając konia imię i nazwisko:

Teofil Tarcza.

Znakomici mężowie i kobiety W POLSCE

od X-go do XII-go wieku.

szkicował

ERNEST ŚWIEŻAWSKI.

(Dalszy ciąg)

VII PORAITOWIE.

Już z powieścią o losach Ody i Astrydy, wstąpiliśmy w obręb dziejów Bolesława-Magnusa. Bo niejedna sprzeczność chronologiczna w owych opowieściach, wyjaśnia się faktem spółrządztwa tego książęcia ze swoim ojcem, faktem, zresztą usprawiedliwionym przez wiadome oddanie tego Bolesława Niemcom na rękojmię dalszej swej wierności przez Mieszka-Lamberta I-go 973 r. Obok tego wspominaliśmy o roli możliwej Magnusa w dziewosłębach Ody Teodorykówny, a rzeczywistej w dziejach jej wdowieństwa, podobnie jak w losach Astrydy szwedzkiej. Teraz nam przychodzi mówić o rodzie, który prócz związków małżeńskich łączących panujące w Czechach i Polsce książęta, stał się wtórym wiązadłem między temi państwami w zawiązku.

Mamy tu na myśli czeski ród Poraitów. Już w roku 995 wedle powieści Jana Kanaparza spółczesnego apostołowi Wojciechowi, znajdujemy Sobiebora Poraitę w orszaku Bolesława Magnusa, gdy ten wezwany przez cesarza Ottona III, pośpieszył z wojskami polskiemi na wspólną przeciw Obodrytom z Niemcami wyprawę. Wedle znowu innych źródeł i czeskie pułki pod wodzą jednego z synów Bolesława II, brały udział w owej kampanii obotryckiej. Trudy i niebezpieczeństwa wspólnie znoszone tym łacniej węzłem przyjaźni zespoliły Sobiebora z Polakami, że w Czechach prześladowania, tak on jak i czterej jego bracia, ze strony wówczas panującego Bolesława II doświadczali, i nawet tenże Poraita skorzystał z wyprawy, aby się poskarżyć przed cesarzem na ich sprawcę. Skarga przed forum cesarskie była zaniesiona za wiedzą Bolesława drugiego, i pókąd wysłaniec by niewrócił, strony powaśnione zawarły rozejm między sobą. Poraici uzyskali od swego księcia zapewnienie bezpieczeństwa i potwierdzającej je przysiędze ufając, bezpiecznie używali wczasu w stołecznym grodzie swych włości, Lubicy, u ujść rzeki Cydliny do Elby. Nagle zbrojni wrodzy nadchodzą i miasto oblegają, w dzień Ś-go Wacława, niepomni święta. Napróżno Poraici chcą obchodzić uroczystość, i o rozejm proszą. Oblegający z szyderstwem odpowiadają: jeśli waszym świętym jest Wacław, naszym jakoby jest (książę) Bolesław (jego morderca). Gród zdobywszy, zwycięzcy nieszczędzili ani płci ani wieku; nawet dzieci w żywocie matki nieocalały. Czterej bracia za poradą Radła (Astryka) kleryka niechają boju nieużytecznego, i szukają schronienia w kościele. Stamtąd, gdy chcąc życie ocalić, dobrowolnie oddają się w ręce księcia wiarołomnego, śmierć zdradziecka ich spotyka.

Z całego rodu ocalał jedynie Sobiebór który obecnie udał się na dwór Bolesława-Magnusa. Tymczasem Wojciech biskup drugi Poraita, który był udał się do Rzymu i tam wstąpił do klasztoru około 995 r. uchodząc gniewu swych ziomków, w zemstę już nam sprawie występnej małżonki [1]) jakiegoś Czecha, musiał wracać na żądanie swego arcybiskupa do porzuconych pasterskich obowiązków. Pod wrzesień 996 roku stanął Wojciech biskup w Moguncyi, kędy znów długie chwile spędza z cesarzem Ottonem III, dalej zwiedza Tours, szukając to rady świętobliwego starca Marcina, to natchnień u grobu Ś-go Benedykta w Floryjaku. Wróciwszy do cesarza, pożegnał się z nim stanowczo, i wybrał się nareszcie na tak długo pożądaną apostołkę wśród pogan. Wahając się w wyborze, czy do Lutyków czy do Prusaków ma ponieść światło Św. ewangielii, decyduje się na ostatnich i przez Polskę udaje się do nich. Tu, Bolesław-Magnus uproszony przez Wojciecha, wysyła do Czechów z zapytaniem, ażali swego biskupa by przyjęli? Na to mu odrzekli: „o dziwo! dobrowolnie chcesz wracać do tych, którzy cię wbrew twej woli zwoływać i trzymać musieli. Wiemy co myślisz człowieku. Niechcemy ciebie zgoła, ani tu śród nas nie ma miejsca dla ciebie, który chcesz pomścić na nas srogo braci twoich." Ucieszył się z obraźliwej tej odprawy biskup Wojciech, bo czuł się nią zwolnionym od pasterskich swych obowiązków, które go dotąd do Czech wiązały, i dawno piastowanej chęci życia mniszego lub apostolstwa spełnić niedozwalały.

Przez pewien czas zabawił jeszcze biskup Wojciech w ziemiach Bolesława. W Międzyrzeczu, w Wielkopolsce, a raczej w Starej, pierwotnej, Polsce założył klasztor, a zgromadziwszy w nim znaczną liczbę zakonników, zapewne i Polaków, stanowi opatem swego ucznia Astryka czy Radła, który później został arcybiskupem w Sobocinie (Strzygoniu). Tu w Międzyrzeczu był skreślony najdawniejszy opis ostatnich chwil biskupa, i tu się przechowywał aż póki go 1005 roku Henryk

[1]) Patrz artykuł Dąbrówka.

II król niemiecki najechawszy pusty klasztor niezabrał, i swemu przyjacielowi Godehardowi opatowi w Tegernsee w Bawaryi niepodarował. Tam go też 1856 r. znaleziono. Z tego to opisu dowiadujemy się, że biskup Wojciech z owego klasztoru międzyrzeckiego jakby tajemnie z pielgrzymim koszturem uszedł z niewielu towarzyszami, mianowicie z bratem Gaudentym „późniejszym arcybiskupem“ i Boguszą zakonnikiem, i wkroczył do ziemi pruskiej. Tu, zbliżywszy się do miasta zwanego Cholin (podobno Kallen koło Fischhausen), przyodziany w szaty biskupie, zażądał otwarcia wrót miejskich, uderzając je pastorałem. Stróż oświadczywszy mu, że niewidząc ktoby on był, wpuścić go wedle miejscowego zwyczaju do Cholinu niemoże, zalecił wstąpić na pagórek nad miastem panujący, i stamtąd się pokazać. Biskup, jak mu powiedziano, uczynił. Wonczas na krzyk stróży, zbiegły się tłumy mężczyzn i kobiet, „niby pszczół rozgniewanych,“ a na krzyk jednego z pomiędzy siebie, który znał biskupa i zapytał go: „ty, co gubisz ludzi zanurzaniem (chrztem), czy i nas przyszedłeś w ten sam sposób o zgubę przyprawiać,“ jęli apostoła kamienować. Towarzysze Wojciecha ukryli się w poblizkim lesie, i niebyli już świadkami, jak jeden z ośmiu nowo przybyłych, (wedle Jana Kanaparza) „kapłan bogów miejscowych“ ubił męczennika 997 r. Głowę odciętą na palu obsadzono, ciało zaś w wodę pobliskiej rzeki zostało rzucone. Towarzysze biskupa Wojciecha z lasu schronili się do klasztoru w znanem sobie mieście.

Tymczasem jakiś podróżny idąc ścieżyną, która biegła ponad wspomnianą rzeką, nadszedł na miejsce kędy głowa Wojciecha biskupa na palu tkwiła. Zdejmuje ją, w podróżny swój tobołek kładzie, i do miasta Bolesława, Chnezina (Gniezno) zwanego, przyśpieszonym krokiem zmierza. Stanąwszy wobec księcia, całą rzecz o męczenniku jako widział doniósł i dobytą z worka głowę biskupa pokazał. Niezabawem nadeszli Radym-Gaudenty i Benedykt Bogusza i opowieść podróżnego potwierdzili. Bolesław—nietylko głowę odkupił, ale nawet i ciało z dna rzeki na siódmy dzień wypływające, sprowadził i złożył w świątyni jeszcze przez Mieszka, swego ojca zbudowanej. Tak skończyła się ziemska dola jednego Poraity. Nieznikł jednak z jego życiem wpływ i sława imienia Wojciecha. Za Bolesława Krzywoustego wojskowi z opola gnieźnieńskiego walczyli pod chorągwią Ś-go męczennika „patrona Polski“ i chorągiew tę z wizerunkiem Ś-go Wojciecha zwano „znakami polskimi.“ Otto biskup bamberski będąc w Julinie 1125 roku wzniół tam dwa kościoły. Jeden poświęcił imieniu Ś-go Wojciecha, jako patrona Polski [1]) drugi Ś-go Wacława, patrona Chrobacyi krakowskiej. Obaj ci święci u Pomorzan pogańskich wielkiego zażywali szacunku, jak donosi nam Ebbo biograf Ottona. Zwłaszcza Ś-ty Wojciech doczekał się tej czci z zupełnie dziwnego powodu.

W ścisłym związku z poświęceniem kościoła gnieźnieńskiego, imienia Ś-go Wajciecha, zrujnowanego w 1036—1039 r. przez Czechów, z poświęceniem zapisanem w rocznikach pod 1064 r., opowiada nam kronikarz Gallus „cud dokonany przez męczennika Wojciecha“ w „zamku polskim“ na korzyść Polaków a szkodę Pomorzan.

(*D. c. n.*)

[1]) Podobnie i w Szczecinie.

OD KOLEBKI—DO SZKOŁY

według wskazówek Froebla

PRZEZ

BERTĘ MEYER.

(Dalszy ciąg).

Rodzice zanadto pobłażliwi — w innym rodzaju unieszczęśliwiają dzieci. Przypuśćmy, że w domu rodzicielskim wszystko się dzieje podług woli małego tyrana, którego najmniejsze sprzeciwienie się przywodzi do gniewu i złości, że słudzy i domownicy, goście nawet, dokładają największych starań, ażeby nie zakłócić jego szczęścia. Natura nawet obdarzając go najlepszem zdrowiem pozwala mu robić bezkarnie rozmaite nadużycia, w pokarmach i napojach. I czyż dlatego dziecię ma na całe życie szczęście zapewnione? Bynajmniej! trwa ono dopóty, dopóki to dziecię przebywa w domu rodzicielskim; ale popatrzmy na nie w towarzystwie rówienników. Czy jest nieszczęśliwsza od niego istota w całem tem towarzystwie wesołych i bawiących się dzieci? Zdziwione, że nikt na jego wymagania uwagi nie zwraca, zaczyna płakać, gniewać się, posuwa się nieraz do bicia i kąsania swych towarzyszów. I to ma być zawsze szczęśliwe dziecię? Miłość rodziców ku niemu, była miłością źle zrozumianą która w niem wyrodziła tylko wymagania i egoizm, a zagłuszyła miłość bliźniego i zgadzanie się z wolą drugich. Pestalozzi tak się wyraża:

Matka dziecię żywi, pociesza, ma pieczę o niem. Dziecię się cieszy, hoduje się dobrze i wygodnie a *u zaród miłości* w niem się rozwija.

Spostrzega ono przedmiot nieznajomy—dziwi się, lęka i płacze. Matka bierze je na kolana, pociesza i całuje, dziecię przestaje płakać i tuli się do matki. Gdy po raz wtóry ten sam przedmiot nasuwa mu się przed oczy, matka pokazuje mu go, tłómaczy, opowiada jaką małą powiastkę—dziecię słuchając z zajęciem opowiadania, ociera oczki, uśmiecha się i dotyka owego nieznajomego przedmiotu. Strach przechodzi, a na jego miejscu *zarodek ufności* powstał w tem małem serduszku.

Matka na płacz dziecięcia spieszy do niego. Kto je nakarmi, gdy jest głodne? Kto dojrzy w chorobie, kto napoi gdy ma pragnienie? Słysząc jej kroki, małe bezsilne rączęta, wyciągają się ku niej; ona jedna zaspakaja jego potrzeby—i dba o wszystkie wygody; *uczucie wdzięczności* rozwija się pomału.

Zarodki, tych wszystkich cnót i uczuć rozkrzewiają się, powiększają niebawem. Dziecię zna głos i postać matki. Kto do niej podobny tego ono lubi. Stworzenie nawet każde przypominające mu matkę—jest mu miłem; dziecię się garnie do ludzi, gdyż ich postać, nie różni się od postaci matki. Cóż tu spostrzegamy? Oto pierwsze oznaki *miłości bliźniego!*

I tak Pestaloszi wykłada początki wszystkich ważniejszych cnót i zachęca matki do czynnego zajęcia się dziećmi swemi, do jak najwcześniejszego rozwijania w nich wszystkich dobrych popędów i szlachetnych uczuć.

Z miłości ku wam, dziecię was słucha, kiedy mu co wzbraniacie, spoglądała na was z miłością i zaufaniem, gdyż kocha. Posłuszeństwo jego nie nosi cechy niewolnictwa, dziecię podobne, zdolne jest tylko słuchać tego, kogo kocha, komu ufa, rodzice korzystając z tak dobrego gruntu, powinni wszystkiemi siłami, podtrzymać to uczucie, z którego wyradza się miłość bliźniego. I zdążając ku temu, powinni nasamprzód wstrzymać się, od obmowy i rozpowiadania rozmaitych anegdotek, o kim kolwiek w obecności dzieci, gdyż one więcej, niżby należało, rozumieją różnicę, pomiędzy śmiesznością i przymiotami, tak, że często najsubtelniejsza ironia, nie ujdzie ich uwagi.

Dalej, nie należy nigdy dziecka chwalić kosztem drugich, wykazywać mu różnicy między jego dobrem postępowaniem, a nagannem sprawowaniem się rodzeństwa. Dziecięciu nasuwają się myśli chełpliwe, zwraca się ono z pogardą i lekceważeniem ku rodzeństwu, lub towarzyszom zabaw, wynosi się nad nich, i krytykuje ich najmniejsze postępki. Mówcie dziecku, gdy na pochwałę zasłuży, że jest grzeczne, że mama je kocha, a w końcu, że za dobre sprawowanie się otrzyma nagrodę, nigdy jednak, że jest grzeczniejsze od drugich, lub że ono tylko nagrodzonem zostanie, inni zaś karę odniosą.

Dzieci tak wychowane, wchodzą w świat z pojęciami niewinnemi, nie pojmują jak ludzie mogą być zli i niewdzięczni, dziwią się nieuszanowaniu dzieci dla rodziców, i tak dalej, ale niebezpieczeństwo już przeminęło—świat zepsuty nie miał na nich żadnego wpływu, gdyż umysł ich ukształcony i serce napełnione dobremi uczynkami, wynajdywało w każdym tylko piękną stronę — widziało tylko dobre przymioty, nie domyślając się nawet jakichkolwiek wad lub niedostatków.

Lecz wychowanie takie można jedynie dać w pokoju dziecinnym, odosabniając dzieci od towarzystwa starszych, strzegąc ich od słuchania ich rodziców. Zgódźcie się na to, szanowni czytelnicy, że niepodobna jest wam ustrzedz się rozmowy niewłaściwej dla uszów dziecinnych. Wasi goście jeszcze mniej na to zwracają uwagi, zatem myli się ta matka, która z nadzwyczajną pieczołowitością dzieci swe ciągle przy sobie trzyma—wystawia je ona tylko na wielkie niebezpieczeństwa, ściera z nich najpiękniejszą ozdobę dziecinną, niewinność. Jeśli kółko ich znajomych, składają ludzie wyższego tonu, uczeni, artyści, ludzie salonowi, nawet dzieci przebywające w podobnem towarzystwie, stają się mądremi przed czasem, nabywają wiadomości których nie rozumieją, opowiadają o rzeczach, o którychby się innym dzieciom nie śniło, jednem słowem w mowie i ruchach naśladują starszych. Jeśli zaś towarzystwo zbierające się w salonie ich rodziców, jest więcej pomięszane, o wtedy biada tym biednym dziatkom; wpływ zły, wkradający się nieznacznie w ich serduszka, sprawia tam szkody niepowetowane i niszcząc najzupełniej niewinność, skłania ich ucho ku wszystkim złym podszeptom.

Z tego więc powodu, dajecie dzieciom waszym swobodę w ich własnym pokoju; wy zaś szanowni czytelnicy, których położenie majątkowe nie pozwala na to, iżbyście dzieciom oddzielny pokój mogli przeznaczyć, starajcie się o ile możności pracować nad sobą, wstrzymajcie się w ich obecności od rozmów lekkich i żartobliwych, zwracajcie nawet, o ile delikatność i grzeczność na to pozwolą, uwagę gości waszych w tym względzie, a wierzcie mi, nikt wam tej pieczołowitości za złe nie weźmie.

Podobnież rozwijajcie w dzieciach poszanowanie wszystkich stworzeń. Sami je szanujcie i łaskawie się z niemi obchodźcie, a dziecię wasze, naśladować będzie tak dobre wzory. Gdy naprzykład zaczyna ono ciągnąć psa, lub kota za uszy, niepozwalajcie na to, mówcie mu: „Puść pieska, jego to boli,“ a dziecię puści pieska lub kotka, i nigdy więcej nie będzie mu wyrządzać tej przykrości. Sypcie ptaszkom ziarno na oknach waszych, pokazujcie je dziatkom, mówcie im, że ptaszki biedne, głodne, tak samo jak ludzie potrzebują posiłku, dajcie im do rączki garść ziarna,

uczcie je same, z ręki ptastwo domowe karmić, a bądźcie pewni, iż te młodociane serca nawykłszy z miłością obchodzić się ze zwierzętami, będą pamiętały, że i to są stworzenia, które Pan Bóg w nieprzebranej dobroci swojej, dał ludziom na użytek i będą tylko myśleć o zaspokojeniu ich potrzeb, nie zaś o znęcaniu się nad niemi. Przykrość i ból zadane zwierzęciu, będą je smutkiem przejmować, i zaiste, podobne wychowanie, rozpowszechnione we wszystkich warstwach społeczeństwa, uczyniłoby zbytecznemi wszelkie towarzystwa opieki nad zwierzętami. I nie tylko ze zwierzętami tak postępować należy. Nie, opieka wasza powinna się też rozciągać i nad roślinami, tak niemiłosiernie wyrywanemi przez najmniejsze dziatki. Uczcie je, uważać każdy kwiatek za istotę żyjącą, niepozwalajcie wyrywać ich bez potrzeby, a dziecię wasze, chętnie was usłucha, skoro tylko nabierze przekonania, że kwiatek, również jak i zwierzątko czuje ból i wyrwany żyć przestaje. Do tego, wszystkiego jednak, szanowni rodzice i nauczyciele potrzeba waszego dobrego przykładu, pamiętajcie, że dziecię, was tylko naśladuje, i żadne słowo moralne, nie wywrze skutku, skoro spostrzeże, iż sami inaczej postępujecie. Dlatego też, strzeżcie się sami, srogości w postępowaniu ze zwierzętami, i niepotrzebnego niszczenia roślinności, jeżeli chcecie, przeważny wpływ wywrzeć na serduszka i umysły dziatek, powierzonych waszej opiece.

(*D. c. n.*)

NIEBIESKA SUKIENKA,

POWIASTKA.

PRZEŁOŻYŁ Z FRANCUSKIEGO

B. Pohorecki.

(Dalszy ciąg).

Nastąpiła chwila milczenia. Podróżni odosobnili się jedni od drugich, dziecię, zasnęło na miejscu opuszczonem przez człowieka z wąsami. Pasażer w czarnem ubraniu, wpatrywał się uporczywie w gałkę od swojej laski, a jego oba oczy i wyżej wzmiankowana gałka, stanowiły trzy wierzchołki trójkąta, kupcy myśleli o swych interesach, kobieta w żałobie o rozmaitych rzeczach; Rudolf—o niczem,

Holender wyjął już dwa razy zegarek. Widocznie oczekiwał oznaczonego czasu; za trzecim razem spojrzał na zegarek, włożył go do kieszeni—i otworzył mały zielony zeszyt w formie albumu.

Rudolf patrzył na niego, milcząc.

Lecz nagle, uczuł się porwanym gwałtowną chęcią śmiechu, poczciwy Holender trzymając w lewem ręku zeszyt, pilnie go studyował, a prawą ręką z pewną uroczystością zaczął wybijać takt trzytempowy, poczciwiec ani wątpił, że się znajduje sam i uskuteczniał to z wielką powagą i bohaterską flegmą.

Usiłowania jakie czynił Rudolf dla powstrzymania się od śmiechu, zwróciły na chwilę uwagę Coppenaëla, który machinalnie spojrzał na niego.

Rudolf uczuł potrzebę przemówienia choćby jednego słowa, dla odwrócenia podejrzeń Holendra—jeżeli ten zdolny był do podejrzewania czegoś.

— Czy pan muzykalny? zapytał Rudolf.

— Grywam na flecie, odrzekł naiwnie Van Coppenaël, i ćwiczę się w tej grze codziennie od godziny czwartej do piątej, to już moje nawyknienie. Jestto metoda Camusa—nie jest ona bez zasługi.

I zaczął na nowo.

— Znakomity! pomyślał Rudolf. Jakież by on miał powodzenie w naszym świecie! Trzebaby go sprowadzić do naszego domu.

VII.

Przyjazd.

Myśl ta istniała już oddawna w głowie Rudolfa, i postanowił ją wykonać.

W końcu — mówiąc prawdę — Van Coppenaël bardzo mu się podobał. Ta natura łagodna, szczera, tak naiwna, tak zupełnie przeciwna jego naturze, ujmowała go bardzo. Van Coppenaël z swojej strony, — bardzo przyjacielski w ogóle, — był również zadowolony z oznak życzliwości, jakie mu okazywał ten młody i wesoły Francuz.

Gdy wysiedli z wagonu i zajęli miejsca w powozie Rudolfa, ten ostatni rzekł:

— Powiedz mi, mój kochany panie, jakby to zrobić: byłoby mi bardzo przykro tak prędko rozstać się z panem. Matka moja, do której właśnie jadę, mieszka o dwie mile od Orleanu; możesz mi pan zrobić wielką łaskę obiadując dzisiaj u niej oraz ze mną. Zgoda?

Van Coppenaël był zarówno zdziwiony jak i zadowolony tą propozycyą Rudolfa; lecz wrodzona mu nieśmiałość i bojaźliwość zmusiła go do odmowy; oprócz tego miał jeszcze i inny powód.

— Bardzo dziękuję panu, odrzekł z jawnem ukontentowaniem, lecz to jest niemożliwem: mój służący czeka na mnie w hotelu.

— Więc cóż ztego?—rzekł Rudolf.

— Byłby o mnie niespokojnym.

Na razie Rudolf sądził, że jest przedmiotem żartów ze strony Holendra; lecz wpatrzywszy się w jego twarz poczciwą, ani na chwilę nie wątpił że Van Coppenaël mówi rzeczywistą prawdę.

— Tak,—mówił dalej Holender — toby go bardzo zadziwiło—lecz dodał, czyniąc wielkie usiłowania dla przezwyciężenia swej nieśmiałości,—gdyby matka pańska nie oczekiwała na niego, prosiłbym bardzo pana o przyjęcie u mnie obiadu.

— Przyjmuję—odrzekł natychmiast Rudolf, jednak z warunkiem że pan jutro nie odmówi mi nawzajem tej przyjemności.

— Wszakże—odrzekł Van Coppenaël, gdyby matka pańska...

— O! bądź pan o to spokojny. Na mnie zawsze w domu czekają i nigdy nie czekają.

Van Cappenaël długo zastanawiał się nad znaczeniem tej odpowiedzi. Myślał jeszcze o tem kiedy powóz zatrzymał się przed bramą hotelu.

VIII.

Pan i sługa.

Pokój do którego wszedł za swym nowym przyjacielem Rudolf de Frenays, był w rodzaju małej salki, jaką napotykamy we wszystkich prawie prowincyonalnych oberżach; z wysokim sufitem, wydatnemi belkami, skromnie umeblowany, ze ścianami obitemi zielonym papierem, upiększonym małemi Chińczykami. We wszystkich prawie obiciach, choćby one pokrywały wielką galeryą Luwru, napotykamy zawsze dwóch Chińczyków, zawsze jednakowych, umieszczonych jeden za drugim i powtarzanych do znudzenia. Jeden z nich trzyma w sieci rybę czarną, drugi ptaka w klatce. Ptasznik i rybak, postępują wiecznie za sobą krok w krok nie domyślając się wcale swej dwoistości. Mieliśmy zawsze smutne pojęcie o tym narodzie cnotliwym, lecz zanadto monotonnym.

Gottlieb, to jest Teofil po francusku—służący Van Coppenaëla, ukazał się w całej swej okazałości.

Rudolf był zdziwiony rażącem podobieństwem, jakie istniało między Gottliebem i jego panem. Można było wziąć ich za braci. Była to ta sama twarz blada jakby wydęta, te same oczy, ten sam chód ciężki, ta sama postawa hipopotama. Tylko Gottlieb był niższy od swego pana, i — rzecz trudna do uwierzenia, był daleko szerszy w plecach.

Dodajmy, że byli jednakowo ubrani.

Ta sama postawa, ubranie jednakowe z tym tylko wyjątkiem, że Van Coppenaël miał na głowie czapkę a Gottlieb kapelusz, który go przez całe życie nie opuszczał. Mówiono nawet w kuchniach hotelu Loary, że go i w nocy nie zdejmował.

Gottlieb obejrzał powoli od stóp do głów swego pana i nie znalazłszy w nim żadnej zmiany, oczekiwał rozkazów,

— Daj nam jeść—rzekł do niego po holendersku Van Coppenaël.

— Tak, odrzekł Gottlieb za całą odpowiedź. I wyszedł.

Rudolf oglądał dwie duże klatki umieszczone w końcu pokoju jedna nad drugą, z których każda zawierała około dwudziestu gatunków kanarków.

— Podczas nieobecności pana wprowadzono tu widać ptasznika, rzekł wesoło.

— Nie, odparł Van Coppenaël, ptaki te do mnie należą, a mieszkanie wynajmuję miesięcznie.

— Ja sądziłem, że pan mieszka w Paryżu.

— Tak; lecz bardzo często przebywam i tutaj. O! w Paryżu, dodał, mam daleko więcej ptaków.

— Czy te kanarki sprowadzone z Holandyi? zapytał Rudolf.

— Tak, odrzekł Van Coppenaël. Przywiozłem stamtąd pewną ich liczbę; w Lejdzie posiadam ładny zbiór kanarków.

Nie można się było niczemu dziwić, to też Rudolf zamilkł.

Tymczasem Gottlieb, przy pomocy sługi hotelowego, nakrywał do stołu; podczas tej czynności Van Coppenaël wyszedł na chwilę z pokoju.

— Zdaje się, że masz dobrego pana? zapytał Rudolf.

Gottlieb zastanowiwszy się chwilę, aby lepiej zrozumieć zapytanie, odrzekł:

— O! tak proszę pana; matka moja go karmiła. Mój pan jest to człowiek bardzo poczciwy i dobry i mądry! Zewsząd piszą do niego, zasięgają jego rady, a w Lejdzie nie ma profesora, któryby mu się nie ukłonił na ulicy.. O! tak, dodał z uwielbieniem, to człowiek, bardzo mądry!

IX.

Srebrny kubek Van Coppenaëla.

Van Coppenaël wrócił do pokoju. Usiadł zaraz przy stole, i założył serwetę za guzik swej siwej kurtki.

Rudolf zrzucił z siebie zwierzchnie ubranie, poprawił z wdziękiem włosy i usiadł.

Van Cappenaël usługujący swemu gościowi, drugi raz już przypuszczał szturm do zupy — Rudolf pospieszył za jego przykładem. Mimo apetytu myśliwca, nie mógł jednak nie podziwiać od czasu do czasu, gastronomicznej przewagi swego antagonisty. Van Coppenaël jeżeli porzucał widelec, to jedynie dla napełnienia srebrnego kubka, dużego i ciężkiego, który wypróżniał z zadziwiającą szybkością.

Ta okoliczność zrodziła w głowie Rudolfa myśl, podług niego bardzo pocieszną: chciał koniecznie zobaczyć fizyognomią Holendra w stanie podpiłym.

— Pijmy — rzekł wesoło. I kazawszy postawić koło siebie kilka butelek rozmaitych raz po raz napełniał kubek Van Coppenaëla— który się o to bynajmniej nie gniewał.

— Przepraszam pana — rzekł Rudolf — zdaje mi się, że moje zdanie o waszym kraju nie będzie się panu bardzo podobało; podług mnie musicie się znakomicie nudzić w waszej Holandyi.

— Dlaczego? — zapytał Van Coppenaël.

Gottlieb, na słowa Rudolfa, wytrzeszczał z podziwienia oczy.

— Nie wiem — odrzekł Rudolf nalewając wino — lecz takie sobie wyrobiłem pojęcie. Mówią, że wasz kraj zalany ze wszystkich stron wodą, że domy z cegły zbudowane są na palach, i że ustawicznie deszcz pada. W mojem dzieciństwie pojechałem raz do starej ciotki, zamieszkiwała ona zamek zbudowany także na palach i otoczony wielkiemi rowami napełnionemi wodą. Nie możesz pan sobie wystawić jak się nudziłem w tym przeklętym zamku! Otóż wyobrażałem sobie zawsze, że jestem w Holandyi.

Van Coppenaël uśmiechnął się, zamieniając spojrzenie z Gottliebem.

— Wszędzie dobrze—rzekł on—tak w Holandyi jak i gdzie indziej. Co do mnie powiem panu otwarcie, że już trzy miesiące jak jestem w Paryżu, jednak nie bardzo się tam bawię.

— Ba! — rzekł Rudolf — bo nie umie się pan wziąć do tego. Czy bywasz pan w świecie?

— Był u mnie, przeszłego roku, mój spólrodak; prosił mnie bardzo abym z nim powrócił. Ponieważ decydowałem się dość długo, wyjechał; sądził jednak, że zrobi mi przyjemność polecając mnie swoim przyjaciołom, pozostałym w Paryżu, ludziom młodym, studentom, pan wiesz — dobrym chłopcom, którzy zabawiają się na swój sposób; lecz ja, takiego życia nie lubię; przesadzone przyjemności, hałasy, kłótnie...

— Po tem wszystkiem co dzisiaj widziałem, nie powinno pana niepokoić podobne życie; kto obdarzony jest tak wielką siłą...

— Nie lubię — odrzekł spokojnie Van Coppenaël.

— Dlaczego—odparł Rudolf nalewając ciągle. — Dlaczego nie starałeś się pan bywać w towarzastwach?

— Próbowałem i tego; przedstrwiono mnie w dwóch czy w trzech domach, lecz nie znajdowałem tam wielkiej przyjemności. Rozmowa światowa polega na rozmaitych zwrotach prawie niezrozumiałych dla cudzoziemca. Byłem także w salonach naszej ambasady; lecz tam jeszcze nudniej. A potem — dodał spuszczając oczy — jestem trochę nieśmiały.

— A widowiska, koncerty — ponieważ pan jesteś muzykalny, opera?... — rzekł z uśmiechem Rudolf.

— O! opera! tak, bywałem często, na koncertach także. Lecz kiedy jest się ciągle samym...

Tu Van Coppenaël westchnął.

— Czy dla własnej przyjemności przyjechałeś pan do Paryża?

— Tak dla własnej przyjemności, to jest dla zwiedzenia... dla — podróżowania. A potem...

Van Coppenaël zamilkł niedokończywszy zdania.

Rudolf sądził że wino już na niego oddziaływa, podwoił więc dozę. Holender nie próżnował i trzymał się dobrze.

Rozmowa ciągnęła się dalej. Rudolf o ile mógł podtrzymywał ją, starając się jak najwięcej dolewać wina swemu towarzyszowi.

X.

Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada.

Główną niedogodnością dla Rudolfa w uskutecznieniu jego zamiaru, było ciągłe zachęcanie Holendra do picia, gdyż sam musiał mu dawać przykład; nie oszukiwał też i z wielką uczciwością spełniał swoje kieliszy.

Myśli jego zaczęły się powoli mięszać. Nie miał już siły, chociaż Gottlieb był dość zadowolony z niego, jak na Francuza.

Wesołość jego stawała się coraz głośniejszą i hałaśliwszą; Van Coppenaël zaś nie tracił wcale na godności i był poważny, jakby się zabierał wykładać rozprawę Platona o duszy.

— Hola! panie z Holandyi — zawołał Rudolf — nie pijesz więcej!

— Przepraszam—odrzekł Van Coppenaël— zdrowie pańskie!

Gottlieb przyniósł kawę, i postawił na stole obszerną skrzynkę z likierami. Było czem zbić z nóg cały szwadron konnicy.

— Bądź pan łaskaw skosztować tego — rzekł Van Coppenaël wziąwszy największą butelkę. — Jestto likier jałowcowy z mojego kraju.

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze—odrzekł Rudolf upajający się widocznie. — Ot, co się nazywa dobra rzecz!

— Masz Gottlieb — rzekł Van Coppenaël, dając służącemu szklankę pełną wybornego likieru.

— Napij się tego kochany Gottliebku—mówił Rudolf — napij się mój przyjacielu, mówię to w twoim własnym interesie.

— O! o! a to co? Mam mrówki w uszach!

— Jałowiec rozpala trochę — rzekł poważnie Van Coppenaël.

— Jeszcze proszę, kochany Van, na nowo! na nowo! *if you plaese* — krzyczał Rudolf — Fe! Omyliłem się, wypiłem Bordeaux... nędzne wino! A! tak to co innego!

— Pańskie zdrowie — powtórzył Holender.

— Tak, kochany Van, za twe zdrowie! Trzeba się oszczędzać, przyjacielu, i... i ciepło się trzymać!

— Mnie nie zimno — odpowiedział poważnie Holender.

— Co mówię, to mówię. Gottlieb, czy umiesz udawać krzyki zwierząt?

— Nie znam ich wszystkich, a tych które znam nie umiem udawać, proszę pana.

— A przecież to bardzo łatwo. Dajno pić!

— Czy panu służyć tym samym czy innym likierem?

— Nie, tego samego, jeżeli łaska, mój godny i zacny przyjacielu. Miałeś racyą, omyliłem się. Holandya to piękny kraj, i mieszkańcy bardzo przyjemni. Van, słuchajno przyjacielu, wypijmy jeszcze na uczczenie przymierza Francyi z Holandyą.

— Bardzo chętnie.

— Rudolf chciał podnieść się dla wzniesienia toastu, lecz nogi się pod nim zachwiały i upadł na krzesło, gdzie pozostawał spoglądając okiem nieruchomem i ociężałem.

— Zdaję mi się, że pan Francuz zanadto tego... — rzekł Gottlieb wskazując palcem na czoło.

— Idź przygotuj łóżko — rzekł Van Coppenaël nie ruszając się z miejsca.

Rudolf nie zauważył odejścia Gottlieba; widział tylko jak przez mgłę Van Coppenaëla siedzącego przy stole i wypróżniającego zwolna z wielką powagą resztę pozostałego likieru. Potem wpadł w sen głęboki.

Gottlieb uniósł go jak dziecko, i położył na łóżku.

XI.

Z w i e r z e n i a.

Nazajutrz Rudolf wstał późno. Ociężały jeszcze w skutek wczorajaszej niewstrzemięźliwości, otworzył okno, i podparłszy się na niem zapalił cygaro.

Okno to wychodziło na podwórze hotelowe, i Rudolf rozpoznał naprzeciw siebie, na niższem, piętrze pokój swego przyjaciela Holendra.

Van Coppenaël zajmował się kanarkami; stał przez kilka minut przed klatkami, pilnie się w nie wpatrując, poczem usiadł na fotelu i zaczął niemiłosiernie poziewać.

Rudolf zeszedł do niego, przepraszając za wczorajszy wieczór, oraz za to, że niedotrzymał mu towarzystwa. Van Coppenaël nie chciał słuchać o żadnych przeprosinach: znał dobrze swoje likiery, i wypadek Rudolfa uważał za bardzo naturalny.

Wczorajsze posiedzenie jeszcze więcej zbliżyło do siebie dwóch przyjaciół. Rudolf od samego początku uwielbiał już dobroć i łagodność poczciwego Holendra, teraz więc, w miarę bliższego zapoznania, jeszcze więcej go ocenił. Van Coppenaël ze swojej strony — również był zachwycony powierzchownością, wesołym humorem i uprzejmością swego towarzysza. Rudolf w samej rzeczy, lepiej od innych przedstawiał osobą swoją typ prawdziwego Francuza. Obadwa więc byli z siebie zadowoleni i wzajemną czuli ku sobie sympatyą.

— Już południe — rzekł Rudolf — jeżeli pan gotów, za godzinę będziemy u mojej matki.

Van Coppenaël, napróżno usiłował uwolnić się od danego słowa. Sama myśl przedstawienia się w czarnem ubraniu, szczególniej w obcym domu, nabawiała go trwogi. Musiał się jednak zgodzić.

— Tym bardziej chciałbym pana zabrać z sobą, rzekł wice-hrabia, że zdaje się, potrzebujesz rozrywki. Patrzałem na pana niedawno z mego okna, zdawałeś się być bardzo znudzonym. Van Coppenaël zrobił poruszenie spojrzawszy na Rudolfa.

(*D. c. n.*)

ROZMAITOŚCI.

— Pan **Alfred Arneth**, dyrektor dworskiego archiwum w Wiedniu, znany z wielu prac tyczących się historyi Austryackiej monarchii, wydał nową pracę—opartą na gruntownych studyach. Jest nią dalszy ciąg panowania Maryi Teresy, którego początek p. Arneth wydał w 4-ch tomach przed kilkoma laty. Praca ta nosi tytuł: Historya wojny siedmioletniej. Oprócz tego pan Arneth wydał korrespondencyę Maryi Antoniny, królowej francuskiej z swą matką, Maryą Teressą — tudzież korrespondencyę cesarza Józefa II z Katarzyną II, cesarzową rosyjską.

— W Wiedniu wyszło w przekładzie niemieckim Maksa Münstera **Życie Thorwaldsena** napisane po francusku Eugenjusza Plon—praca ta zapoznaje czytelników z wszystkiemi utworami znakomitego rzeźbiarza, i dając ich ocenę artystyczną, wykazuje jego stanowisko w sztuce.

— W Krakowie, na benefis pani Hofmanowej, dano tragedyę w 5-ciu aktach p. t. „**Begum Sormru**“ napisaną przez Fryderyka Holma, a przełożoną dla sceny Krakowskiej przez W. Sabowskiego. Tragedya ta, przedstawia chwile ciężkich zapasów między słynną **Indyjską kompanyą** angielską a indyjskiemi królestwami.

— Austryackie ministeryum **rolnictwa** przeznaczyło zapomogę w ilości 800 guldenów dla towarzystwa zajmującego się rozprzestrzenieniem hodowli jedwabników w Austryi, uznając korzyści jakie z niej można będzie w przyszłości osiągnąć.

— Wdowa po znakomitym malarzu **Kaulbachu**, buduje w Monachjum dom, w którym ma urządzić muzeum. W muzeum tym zamierza umieścić wszystkie prace swojego męża jakie posiada w oryginałach i kopie fotograficzne tych utworów Kaulbacha, które się znajdują w obcych rękach.

Druk Burzyńskiego i Czerniejewskiego, Nowy-Świat Nr 57. — Дозволено Цензурою. — Redaktor i Wydawca, **Bronisław Przyrembel.**